

12 - "Kolejność"

Wm. Senatorska 15 Min.
"Rolnictwo"

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 CZERWCA 1932

NR. 12

ROK II

DWA TYGODNIE

PRZYPIŹYV NADZIEI
ZASADNICZE PUNKTY

KRYTERJA INTERWENCJI

STEFAN MEYER

HIERARCHJA W POLITYCE GOSPO- DARCZEJ

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

UWAGI

DWIE KONFERENCJE
GORĄCZKA ŻŁOTA
PATOLOGJA
NIEWŁAŚCIWA OSZCZĘDNOŚĆ

POLEMIKA

JESZCZE O DEKRECIE WĘGLOWYM

NOTATKI

WARTO POMYŚLEĆ
DUŻO CZY MAŁO
KREDYTY I NALEŻNOŚCI ZAGRANICZNE BANKÓW
POLSKICH
UZASADNIONA „DZIKOŚĆ”
W SPRAWIE MEMORJAŁU KUPIECTWA
NA MARGINESIE

CENA NUMERU 90 GR. PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

NR. 12

15 - VI
1932 R

KOMITET REDAKCYJNY:

ALEKSANDER K. IVANKA, BOHDAN ŁĄCZ-
KOWSKI, TADEUSZ ŁYCHOWSKI, JÓZEF
PONIATOWSKI, KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI

DWA TYGODNIE

PRZYPIY W NADZIEL.

Już od kilku tygodni ludzie powracający z Zachodu i biorący udział w międzynarodowych dyskusjach na te wszystkie tematy, które stanowią główne bolączki dnia dzisiejszego, mieli nieco lepsze humory, niż w okresie poprzednim. Ton prasy, ba — nawet enuncjacje niektórych ciał międzynarodowych, jak np. Komitetu Ekonomicznego Ligi Narodów, są również jakgdyby bardziej różowe. Krzywa nastrojów w opinii publicznej na Zachodzie, jeśli nie poszła w górę, to w każdym razie zatrzymała swój spadek. O przypiywie zaufania niema jeszcze mowy, ale już mamy pewien przypiy w nadziei.

Wchodzimy w okres wielkich międzynarodowych rozmów politycznych. Czy decydujących? Takby się napozór powinno było zdawać. Ale obserwatorzy stosunków międzynarodowych ostatnich kilku lat nauczyli się ostrożności w sądach o sytuacji. Tyle razy sygnalizowano „odprężenie” i „ożywienie” — a rezultaty pozostawały równe zeru.

Gdyby poszukać motywów tej lekkiej zmiany w nastrojach europejskich, trzeba by sięgnąć poprostu do czysto zewnętrznych faktów, jakie zaszły w ciągu ostatnich kilku tygodni. Tam, a nie gdzieindziej leży wytłomaczenie optymizmu. Ale napróżno szukaćby w faktach tych jakich dowodów na to, iż istotnie zakrawa na powszechną europejską „treuga Dei”, mającą być fundamentem odrodzenia gospodarczego. Podstawą optymizmu jest poprostu fakt, że pewne zjawiska, które przez długie i ciężkie miesiące kryzysu ciążyły nad Europą *swem niezalatwieniem*, zbliżają się już do rozwiązania. Jaki będzie przysły rząd francuski — mówiono na początku roku — bo od tego właśnie zależy to i tamto? Jak się wyładuje w Niemczech niebezpieczeństwo hitlewski — bo przedtem nie warto

zaczynać czegokolwiek? Jaki będzie przysły kierunek Stanów Zjednoczonych — bo tu przecież leży klucz sytuacji dla rozwiązań międzynarodowych problemów finansowych? W jakim kierunku pójdzie polityka gospodarcza Wielkiej Brytanji i całego „commonwealth of british nations” — bo to zdecydye o kierunku polityki handlowej w Europie? Na pytania te nikt nie mógł dać na początku roku bieżącego żadnej odpowiedzi. W rezultacie szybki postęp depresji odbywał się w tych miesiącach przy akompanjamencie całkowitego bezruchu w dziedzinie środków zaradczych. Ciagle się na coś czekało. coś odkładało, czegoś nie decydowało — nie chcąc czy nie mogąc angażować się, zanim padną decyzje wewnętrzne.

Czy obecnie już można nie czekać? Każdy, kto w jakikolwiek sposób orjentuje się we współzależności zjawisk politycznych i gospodarczych, stwierdzić musi, że proces przygotowań politycznych do rozstrzygnięć międzynarodowych nie skończył się i znajduje się dopiero w połowie drogi. Wiemy już, mniej więcej, jaka będzie na najbliższe cztery lata polityka Francji. Co więcej, mamy wszelkie dane do sążenia, jaka będzie w tym okresie polityka Niemiec. O ile w pierwszym wypadku rozstrzygnęły demokratyczne wybory, w drugim — wojskowa i reakcyjna kamarylla. Nie o to chodzi jednak, kto wziął na siebie ciężar decyzji. Wiadomo tylko, że *wziął* i że dyspozycji swej — co jest specjalnie ważne w stosunku do problemu Hittlera — z rąk nie wypuści. A specjalnie w Niemczech, gdzie niepewność sytuacji była szczególnie wielka następstwa istnienia rządu, zmuszonego per fas et nefas do liczenia się ze swymi przeciwnikami politycznymi, wydarzenie to — jakkolwiek byśmy to oceniali z naszego własnego, polskiego punktu widzenia — jest wysoce znamienne.

To już zatem wystarczyło, aby (prawda, że przy akompaniamencie „wojennych” pogłosek o zatargu polsko-niemieckim) znękana opinia publiczna w Europie poczęła bardziej ufnie patrzeć na świat Boży.

Niechże będzie rozstrzygnięcie jaknajgorsze nawet, ale niech będzie... W chwili, gdy słowa te piszemy tworzy się w Genewie nastrój, ludzko przywołujący nastroje z okresu t. zw. protokołu genewskiego z 1924 roku. W tajnych rozmowach i konwentyklach smaży się jakiś „pakt o nieagresji”, jakiś „rozjem polityczny”, o którym nikt nie wie pewnego, ale który wystarczył, aby z dnia na dzień znalazło się w Genewie 400 dziennikarzy z całego świata.

Czy aby jednak ten przypływ nadziei, który przyniósł już tu i owdzie do prasy i opinii polskiej, ma swe uzasadnienie faktyczne? Z punktu widzenia czysto politycznego — być może. Z punktu widzenia gospodarczego — napewno jeszcze nie. Powiedzieliśmy, że proces politycznego przystosowywania się państw do decyzji międzynarodowych znajduje się dopiero w połowie drogi. Kto może dzisiaj przewidzieć, jak wypadną obrady konferencji w Ottawie? Kto może zapewnić, iż nowy prezydent Stanów Zjednoczonych istotnie zgodzi się na dyskusję o redukcji czy zniesieniu długów? A przecież z punktu widzenia gospodarczego tu właśnie leży ciężar głównych rozstrzygnięć dla Europy.

Kto wie jednak — może te próby rekonstrukcji europejskiego zaufania, jakie prowadzone są obecnie nad Lemanem, dadzą jakiś rezultat konkretny? Może — jakkolwiek silnie w to wątpimy — uda się dla kapitału międzynarodowego stworzyć na terenie Europy doraźny surogat bezpieczeństwa? Może na tej podstawie ruszy zardzewiała już machina międzynarodowego obiegu kapitałów?

Proces deflacji w krajach dłużniczych doszedł już do zenitu. Wydaje się, że wszystkie większe „przerosty” z czasów inflacji kredytowych zostały już zlikwidowane. A może jest jednym ze źródeł przypływu nadziei przeświadczenie, że jest już tak źle, że chyba — musi się poprawić...

ZASADNICZE PUNKTY.

W przemówieniu, wygłoszonym 11 czerwca br. na dorocznej konferencji rolniczej, p. wicepremier Zawadzki wysunął kilka zasadniczych punktów państwowej polityki gospodarczej, którym należy poświęcić nieco uwagi i które trzeba specjalnie podkreślić.

Pierwszą tezą p. wicepremiera jest szczere przyznanie się do bezsilności władzy ustawodawczej i wykonawczej w walce z kryzysem. O usunięciu kryzysu, o całkowitem odcięciu się od depresji światowej nie można absolutnie mówić. Można natomiast

i należy dążyć do złagodzenia skutków, jakie powoduje depresja gospodarcza. Interwencjonizm państwowy w Polsce w tym właśnie kierunku działa mając na oku jedynie *korekturę* wpływu depresji na poszczególne elementy życia gospodarczego w kraju. Tak bowiem należałoby rozumieć skierowanie akcji interwencyjnej na obniżenie kosztów produkcji, rolniczej w pierwszym rzędzie. Akcja ta właśnie zmierza do *myrównania* szans, posiadanych przez oddzielne składniki polskiego organizmu gospodarczego w obliczu kryzysu. Moglibyśmy również powiedzieć, że jako punkt wyjścia interwencjonizmu przyjęto „fakty dokonane”, t. zn. obecny poziom cen. (z wyjątkiem sztucznie usztynwionych), i do tych faktów dokonanych Rząd — o ile dobrze zrozumieliśmy p. ministra Zawadzkiego — zamierza *dopasować* w sposób ewolucyjny i przy czynnym współdziałaniu samego społeczeństwa i jego organizacji — *zwichnięty* przez deflację układ sił.

Pozostawiając na boku te momenty w przemówieniu p. wicepremiera, w których omawiał on zagadnienie „stworzenia i systematycznego przeprowadzania szerzej objętego planu ogólnej produkcji rolnej”, gdyż problemowi temu należy się osobna uwaga, chcielibyśmy przejść do następnej, nader ważnej tezy, która przesądza politykę Państwa na odcinku walutowym. P. wicepremier w sposób wyraźny i bez zastrzeżeń odciał się w imieniu Rządu od eksperymentów walutowych, o które jest stale posądzany i do których jest stale — zachęcany. Droga obniżenia wartości pieniądza jest dla nas nie do przyjęcia — oświadczył p. minister Zawadzki. Jest to tak słuszne i jedyne ujęcie sprawy, że nic doń dorzucić nie można.

Przeciwstawił się również p. wicepremier t. zw. rozkazodawstwu gospodarczemu, wypowiadając się przeciwko naśladownictwu w sposób mechaniczny wzorów niemieckich „rozporządzeń doraźnych”. Z przemówienia p. wicepremiera wynikałoby, iż Rząd nie ma zamiaru w drodze dekretowej zniżać odsetki, ustanawiać moratorium lub anulować te czy inne zobowiązania tak w stosunkach wewnętrznych, jak i zagranicznych. Rząd jest zwolennikiem *elastyczności* metod działania, nie chcąc ani społeczeństwa, ani siebie krępować sztywnymi *przepisami*, których efekt końcowy jest, jak dowiodły tego wypadki niemieckie, b. mały w porównaniu z zamieszaniem, jakie powodują. W naszych warunkach, przy naszej strukturze gospodarczej, gdzie obok form późnokapitalistycznych działają i rozwijają się formy wczesno-kapitalistyczne, jednostronne regulowanie procesów ekonomicznych jest niebezpieczne i fałszywe. Rola Państwa, jak to podkreślił p. wicepremier, sprowadza się przeto do popierania oraz — dodajmy od siebie — koordynowania i uzupełniania wysiłków sfer zainteresowanych. I tutaj pole do popisu otwiera się istotnie obszerne.

STEFAN MEYER

KRYTERJA INTERWENCJI

Interwencjonizm jest ustrojem zawierającym wewnętrzne sprzeczności i nielogiczności wskutek rozbieżności interesów źródeł inicjatywy.

Kryteria interwencji są piętą achillesową systemu. Czasem interwenjowano ze względów wojskowych, czasem w imię stanu zatrudnienia, czasem dla ratowania prestige'u albo polskiej zdolności kredytowej przed obcym forum, ale z jakiegokolwiek strony czerpano argument, — siłą była elokwencja petentów, wrażliwość organów państwowych, a nie rachunek. Bo jakżeż rachunkiem ująć takie niedające się zważyć czynniki, jak nastroje mas, jak zaufanie obcych. Właśnie owa nieważkość impoderabiljów ciężkiem brzemieniem kładzie się na barki dnia dzisiejszego. Był to interwencjonizm okres referendarski. Każdy referent wrażliwy był na inne argumenty i w owym czasie najwyraźniej dały się zaobserwować sprzeczności i nielogiczności systemu.

Z rozwojem interwencjonizmu kilka argumentów zyskuje uznanie powszechne i wybijają się one jako kierunek, niewiadomo: czy interwencji, czy rozwoju.

Są niemi: zwiększenie stanu zatrudnienia, oraz obrona bilansu płatniczego.

Argument zwiększenia stanu zatrudnienia, którym władze bezpieczeństwa posługują się wbrew życzeniom zwolenników mechanizacji à outrance, doprowadził do tego, że, np. w niektórych krajach związkowych Rzp. Austriackiej przy budowie dróg w r. 1931 stosowano te metody techniczne, które dawały możliwość zatrudnienia największej ilości bezrobotnych, przy niezwiększonych kosztach na km. bieżący. Argumentem tym posługiwało się i hutnictwo polskie w 1925 r., interwenjując przez M. S. Wew., aby Ministerstwo Kolei Żelaznych przyspieszyło wydanie zamówień. Argument ten zyskał już dużą popularność. Pewien przemysłowiec, oprowadzając mnie po swojej fabryce, chwalił się, że produkcja jego „bardzo się nadaje dla naszych warunków, bo zawiera dużo robocizny i prawie wyłącznie krajowe surowce”.

Te „krajowe surowce” naprowadzają nas na argument drugi, na obronę bilansu płatniczego. Okres, zapoczątkowany Międzynarodową Konferencją Ekonomiczną w Genewie w 1927 roku, jest tak charakterystyczny dla poglądów całej Europy, w tej dziedzinie, że innych przykładów przytaczać nie trzeba.

Oba te argumenty, również jak i trzeci, od którego, być może, rozpoczął się rozwój systemu, argument niezbędności pewnego artykułu własnego na wypadek wojny czy blokady, wszystkie one są zupełnie słuszne, jeżeli idzie o ich tendencje. Nie mam jednak pewności, czy badano w każdym poszczególnym wypadku, z olówkiem w ręku (zwłaszcza w okresie referendarskim), czy interwencja, przedsięwzięta w ich imię, da per saldo pożądany efekt.

Sam fakt, że, mimo wieloletniego interwenjowania w imię stanu zatrudnienia, stan bezrobocia zdaje się stosować do zupełnie innych zjawisk, wskazuje na to, że interwencje jakby przeszły (w wielkiej linji) mimo celu, do którego miały prowadzić.

Podobno bezrobocie jest tylko funkcją stanu zatrudnienia; ten zaś zależy od opłacalności robocizny w

danem przedsięwzięciu (obraz ten bywa spaczony przez zwolenników mechanizacji à outrance, to jest tam nawet, gdzie wzrost oprocentowania inwestowanego kapitału przerasta zaoszczędzoną robocizną); opłacalność robocizny zależy od poziomu płac. Płace zależą od wysokości i formy udzielania zasiłków dla bezrobotnych. Szwecja zna zasiłki tylko w formie publicznych robót inwestycyjnych, opłacanych poniżej cen rynkowych, wzgl. związkowych. Z początku 8-go rozdziału I księgi „Bogactwa Narodów” Adama Smitha można wyciągnąć wniosek, że przy zupełnie stałej wartości waluty ceny i płace powinny mieć stałą tendencję zniżkową, zależną od postępu technicznego. Natomiast stabilizacja płac przy istnieniu tendencji zniżkowej towarów musi usuwać z terenu operacji rentownych wytwórczość szeregu placówek, a więc musi zmniejszać zakres stosowalności robocizny.

Jeżeli powyższy wniosek ze Smitha jest prawdą, to istniałyby tylko dwa sposoby zaradzenia złemu: albo, jak to miało miejsce wskutek inflacji złota w XIX wieku, stałe, powolne zniżanie wartości absolutnej nominalu (przy zachowaniu jego wartości względem cen przeciętnych), albo odpowiednio obniżanie nominalnych płac, stojące w istocie na granicy wolnej gry sił w dziedzinie pracy. Za nią widzą niektórzy beznadziejną pauperyzację mas i pragnęliby uniknąć tej strasznej alternatywy. Czy interwencje na korzyść przemysłu przy wzrastającym zaludnieniu i powolnym obniżaniu zarobków związanych doprowadzą do innego stanu, potrafią uniknąć pauperyzacji? — jest sprawą temperamentu obserwatora.

Bezwarunkowo: można grać ceł, kredytów, związaniem produkcji — dopomóc do utrzymania określonych produkcji przy życiu. Ale ilość rąk, którą przemysł podtrzymywany zatrudni, jest w istocie bardzo ściśle ograniczona. Podtrzymywanie produkcji zamówieniami publicznymi ma wyraźną granicę w budżetach i wysychaniu ich źródeł.

Skuteczność interwencji w poszczególnych gałęziach może być duża; dla całokształtu przemysłu jest ona znacznie mniejsza. Ale każde posunięcie na korzyść jednej grupy branżowej musi zmieniać warunki istnienia grup pozostałych na ich niekorzyść, — stąd starania ze strony tych grup pozostałych wywołania interwencji dalszych, paraliżujących poprzednie.

Pierwszem więc kryterjum interwencji powinno być: *nie pogarszać istniejącego stanu rzeczy i nie przelewać z pustego w próżne.*

Że interwencja niekiedy może osiągnąć pożądany skutek, a mianowicie dopomóc jednej grupie branżowej bez pogarszania położenia innych, tego dowodem jest choćby polska polityka zbożowa ostatniego roku. Są natomiast inne interwencje, w których niezostały uprzednio zważone ich cena i koszt. Ceną interwencji nazywam tę ofiarę, którą przedsiębiorstwo, wzgl. grupa branżowa gotowa jest ponieść, aby interwencję uzyskać.

Kosztem interwencji zaś — obciążenie państwa, wzgl. obywateli skutkami danej interwencji.

Pojęcie kosztu pozwolę sobie zilustrować na 2 pokrewnych przykładach interwencji finansowej.

Jeżeli państwo udziela gwarancji kredytów eksportowych, to budżet jest obciążony ewentualną płatnością gwarantowanej kwoty, ale gospodarstwo narodowe jedynie tą jej częścią, która została zapłacona za składowe części eksportowanego towaru. Sprowadzone z zagranicy, wzgl. i na spłatę długów zagranicznych, ciężących pro rata parte na wyeksportowanych towarach.

O ile natomiast Państwo gwarantuje za zobowiązania finansowe krajowej firmy wobec zagranicznych wierzycieli, to obciążenie budżetowe jest takie same, jak w poprzednim przykładzie, gospodarstwa narodowego zaś większe, gdyż będzie ono obciążone całą zmarnowaną częścią pożyczonej przez chore przedsiębiorstwo kwoty.

Caeteris paribus większy jest koszt gwarancji kredytów finansowych, aniżeli eksportowych.

Pomijam tu świadomie inne różnice tych dwóch rodzajów interwencji, jak np. mniejsze obciążenie bilansu płatniczego państwa w razie bankructwa firmy bez gwarancji rządowych, aniżeli gdy równowartość raz zaciągniętych kredytów bez względu na losy dłużnika musi być przez gospodarstwo narodowe spłacona obcokrajowcom, etc., gdyż zależy mi tylko na zilustrowaniu pojęcia kosztu interwencji. Pojęcie ceny interwencji jest wyraźne: może nią

być rezygnacja z części dochodu na rzecz społeczeństwa w postaci np. niżki cen lub przesunięcia tytułu własności, może być reorganizacja i uzdrowienie grupy branżowej, może być wyłącznie personalne posunięcie, a możliwa jest i interwencja nieodpłatna.

Interwencja musi mieć przyczynę: jest nią w myśl definicji inicjatywa grupy branżowej; *interwencja zarosze kosztuje*; może ona mieć *cenę* oraz powinna mieć *efekt*, który byłby większy od *kosztu*. Bez tej nadwyżki efektu nad kosztem interwencja jest zmarnowana, a interwencjonizm taki przypomina badania biologiczne XIX wieku. Przyniosły one per saldo korzyść dla wiedzy, ale przerażają nas okrucieństwem metod.

Polityka gospodarcza okresu oświeconego absolutyzmu prowadzona była według uznania władców. W okresie liberalizmu niewiele się zmieniło; nadal pozostała ona wypadkową sił grup gospodarczych. — tym razem jawnie. Dojrzewanie demokracji, to doskonalenie instrumentu który wypadkową coraz ściślej wytycza. *Gospodarką rządzi gra sił, nie siła argumentów.*

Czynnik *racjonalny* miarodajnym jest (według teorii) w ustroju *planowym*; również i w interwencjonizmie ma on swoje miejsce. *Im bardziej na kryteriach interwencji odbija się rozmoaga, a nie krzyk grup branżowych, tem mniej szkody poniesie gospodarstwo narodu.*

TADEUSZ LYCHOWSKI

HIERARCHJA W POLITYCE GOSPODARCZEJ

Obecna sytuacja gospodarcza Polski wymaga, aby w hierarchji zarządzeń, tworzących wspólnie politykę gospodarczą rządu, pierwsze miejsce zajęła polityka handlowa.

Polityka gospodarcza państwa nigdy nie stanowi całości skończonej i we wszystkich kierunkach działalności swej rozwinętej jednakowo. Nietylko nawet w zależności od głównych celów, jakie polityka gospodarcza państwa stawia sobie w danej chwili jako swe czołowe zadania, ale wprost od struktury gospodarczej kraju i tendencji, zakorzenionych w jego życiu gospodarczym, tworzy się w łonie polityki gospodarczej jego pewna hierarchja poszczególnych składników tej polityki. Wiemy np., iż kraje wolnohandlowe z reguły nie posiadają wcale tego, co nazywamy potocznie polityką handlową, a więc, iż państwo nie ingeruje w nich niemal wcale we wszystko to, co tyczy się stosunków gospodarczych kraju z zagranicą. Wiemy, że system wysokich płac w połączeniu z tendencjami t. zw. prosperity w Stanach Zjednoczonych usunął w cień tę część polityki gospodarczej, którą nazywać zwykliśmy polityką społeczną. Przez długie dziesiątki lat uprzemysławianie się pewnych krajów na zachodzie Europy usuwało z pod bezpośrednich trosk państwa politykę rolną. Przykładów takich przytaczaćby można dowolną liczbę.

Nawet jednak, gdy niema bezpośrednich czynników, odbierających państwu troskę o regulowanie

tej czy innej dziedziny życia gospodarczego kraju, a więc wówczas, gdy interwencjonizm państwowy sięga wszystkich nieomal tych dziedzin, konjunkturalne przyczyny skłaniają do różnego nasilenia działalności państwa na poszczególnych odcinkach polityki gospodarczej — w zależności od celów, jakie na najbliższy okres czasu stawia sobie państwo. Jeśli chodzi o Polskę, mieliśmy okresy szczególnego natężenia w zakresie polityki finansowej, przemysłowej, rolnej, skarbowej i t. d., i t. d. Nie było jednak nigdy okresu, kiedy by na pierwszym planie zainteresowań i działalności państwa stał ten dział polityki gospodarczej, który nazywamy polityką handlową.

Niema w tem zresztą nic specjalnie dziwnego. Jest przecież faktem niewątpliwie stwierdzonym, iż w psychice gospodarczej naszego społeczeństwa handel, a zwłaszcza już handel zagraniczny, odgrywa rolę minimalną. Obok przykładów z historii dawnej Rzeczypospolitej (monopol zbożowy Gdańska i t. d.) mamy doskonałe dowody na to z ostatniego okresu niewoli, kiedy w parze z silnym niejednokrotnie wzrostem gospodarczym kraju, z rozwojem przemysłu, produkcji rolnej, spółdzielczości i t. d., i t. d. nie szedł w parze rozwój stosunków handlowych z

zagranicą. Stosunki handlowe ziem polskich przed wojną światową zamykały się niemal całkowicie wewnątrz organizmów gospodarczych państw zaborczych. Nie mamy zamiaru zresztą analizować tutaj tych faktów szczególnie dokładnie. Faktem jest, iż handel zagraniczny w Polsce powojennej był tą dziedziną życia gospodarczego kraju, która najmniej bodaj domagała się od państwa kierowania nią w odpowiedni sposób. Jeśli zagraniczna polityka handlowa w Polsce powstała, to wypłynęła ona ze zrozumienia przede wszystkim przez rząd roli handlu zagranicznego w życiu gospodarczym kraju, a więc została ona niejako naszym życiu gospodarczemu narzucona zgóry. Przez długi szereg lat polskie sfery gospodarcze nie tylko nie interesowały się same, w jaki sposób zostanie uregulowany gospodarczy stosunek Polski wobec tego czy innego państwa, ale — zapytywane nawzór ankiet „traktatowych” w innych państwach o swe zdanie w tym czy innym problemie traktatowym — dawały odpowiedzi pobieżne albo zupełnie nierealne. Życie gospodarcze, opinia gospodarcza w Polsce żyły, jeśli chodzi o stosunki z zagranicą — o t. zw. miejsce pod słońcem polskiego gospodarstwa narodowego — schematami poglądów przedwojennych. Każda wiadomość o nawiązaniu stosunków gospodarczych ze Związkiem Sowieckim wywoływała w przemyśle łódzkim nadzieje na możliwości zbytu na rynku sowieckim „jak przed wojną” — bez uprzedzenia sobie głębokich zmian, jakie zachodziły i zachodzą w polityce gospodarczej naszego sąsiada wschodniego. Dla rolnictwa naszych ziem zachodnich rynek niemiecki był alfą i omegą stosunków z zagranicą. Prostu nie zajmowano się zagadnieniami polityczno-handlowymi poważnie, uwalniając się szablonem przyzwyczajenia przedwojennych. Tu i ówdzie pionierskie wysiłki tej czy innej firmy sięgały innych rynków, udawały się albo się nie udawały, dawały zyski lub straty, ale tendencją ogólną i dominującą była troska o cały szereg innych problemów gospodarczych. Sprawy podatkowe, finansowe, społeczne absorbowwały tak dalece umysły, że na przejęcie się możliwościami zbytu zagranicznego brakło prosto czasu.

Myśląc szablonami przedwojennymi, jeśli chodzi o kierunki ekspansji gospodarczej, i nie znajdując praktycznego wyniku na tych zdawna wyżłobionych drogach, polskie gospodarstwo narodowe w stosunku do zagadnień wymiany towarowej z zagranicą predestynowane było zgóry do możliwie najbardziej protekcyjnych tendencji myślowych. Dysponując rynkiem wewnętrznym o bardzo ograniczonej sile nabywczej przemysł polski (pozbawiony, jak wspomnieliśmy, zagranicznych rynków zbytu, do których był przyzwyczajony) siedł w swych dezyderatach pod adresem czynników rządowych zawsze po linii protekcyjizmu „à outrance”. Każdy konkurent zagraniczny, pojawiający się na rynku, konkurent, lepiej przygotowany do walki, dysponujący lepszą organizacją, większym kapitałem i t. d., stwarzał dla przemysłu polskiego odrazu groźbę zagłady. Odbiciem tego w psychice była negacja wobec jakiegokolwiek zacieśnienia stosunków handlowych z jakimkolwiek państwem. Broniono swojego — bo nie dowierzano własnym siłom wobec konkurencji, a nie chciano cudzego — bo ekspansja gospodarcza pozostawała polskiej psychice gospodarczej obca. Jeśli dodać do tego absolutne niezro-

zumienie podstaw samej wymiany międzynarodowej (dyskusja o bilansie handlowym z przed kilku lat była tego najbardziej krzyczącym dowodem), możemy śmiało powiedzieć, iż „solipsyzm” — że użyjemy modnego dzisiaj słowa — gospodarczy leżał u podstaw polskiej myśli ekonomicznej w okresie powojennym.

W tych warunkach polska polityka handlowa miała dość szczególne zadanie. Trzeba było nawiązywać stosunki traktatowe z obcymi państwami, ale niewiadomo było — jak gwarantować w nich nasze interesy? Trzeba było w traktatach tych „dawać” jak najmniej, bo każde ustępstwo celne wywoływało odrazu burzę protestów, a właściwie niewiadomo było, co „brać”. Rezultatem tego były np. traktaty z bardzo uprzemysłowionymi państwami, gdzie jako sukcesy naszej strony figurowały dziesiątki zniżek celnych na polski... wywóz przemysłowy, zniżek nigdy, oczywiście, nie wykorzystywanych, a branych — ot tak, dla „optyki”. Co więcej, wpływy polityczne niektórych państw oraz usługi finansowe innych odbijały się odrazu w dziedzinie wymiany towarowej, wprowadzając do naszego systemu traktatowego jeszcze większe zamieszanie. A dopiero wojna celna z jednym sąsiadem przy zablokowanej granicy z dwoma innymi dokonywać musiała reszty.

Ten stan rzeczy począł w ostatnich latach wysokiej koniunktury ulegać pewnym zmianom na lepsze. Wywóz polski począł wychodzić powoli na inne rynki, wzmagająca się siła nabywcza rynku wewnętrznego pozwalała przetrzymać obcą konkurencję, a ogólne ożywienie gospodarcze w kraju wywoływało tendencje do zainteresowania się handlem zagranicznym. Już tu i ówdzie pojawiały się pod adresem rządu dezyderaty o konieczności takiej czy innej zmiany w danym traktacie handlowym, opatrzone motywacjami i dowodami. Poczęła się wywiązywać więc pomiędzy polityką handlową a życiem gospodarczym. Nie znaczy to, aby polityka handlowa w hierarchii zainteresowań miała poprawić swe miejsce, ale zmniejszył się przynajmniej dystans, jaki ją dzielił od innych dziedzin polityki gospodarczej rządu w pojęciach naszego życia gospodarczego.

Kryzys zburzył odrazu tak pięknie rozpoczynające się dzieło. Hasło o ochronie za wszelką cenę rynku wewnętrznego zapanowało niepodzielnie. Trudności protekcyjnistyczne w obcych krajach, hamujące nasz wywóz, dokonały reszty. Ponad wszelkimi planami czy dyskusjami na temat stosunków z zagranicą wyrosły własne troski, ciężące coraz silniej na nastrojach gospodarczych całego kraju. Niewypłacalności, bezrobocie, kryzys zaufania, spadek dochodów — wszystko to przysłoniło w opinii publicznej ponowne zainteresowanie dla handlu zagranicznego. Nacisk zagranicy, zaabsorbowanej również we własnych kłopotach, zmniejszył się. Dezyderaty skrajnego protekcyjizmu poczęły znajdować uzasadnienie we wzorach zagranicznych. Nastroje solipsyzmu powracały — jeszcze silniejsze i bardziej gospodarczo uzasadnione niż kiedykolwiek. I właśnie w takiej chwili sprawa wymiany towarowej z zagranicą stanęła w zupełnie nowym oświetle- niu. Przestała być kwestją ekspansji tej czy innej gałęzi gospodarstwa narodowego, albo zagadnieniem ochrony innej gałęzi przed konkurencją zzewnątrz. Na tle marazmu w obrocie międzynarodowym kapitałów objawiła się w Polsce — jak zresztą we wszystkich krajach dłużniczych — jako problem bilan-

su płatniczego, a więc zagadnienie utrzymania kursu waluty.

Nie mamy zamiaru powtarzać raz jeszcze znanych powszechnie dowodzeń o konieczności wybitnie dodatniego salda w obrocie towarowym krajów dłużniczych, skoro ciąży nad wszystkimi krajami bez-ruch w krążeniu kapitałów. Pragniemy tylko podkreślić tutaj ową zasadniczą sprzeczność psychiczną, wynikającą z odchodzenia w cień polityki handlowej jako przedmiotu zainteresowania podmiotów gospodarstwa narodowego przy jednoczesnej konieczności położenia na niej specjalnego nacisku — już w imię fundamentalnych i najbardziej żywotnych interesów organizmu gospodarczego kraju jako całości. Sprzeczność ta sprawia, iż w hierarchji celów polityki gospodarczej państwa polityka handlowa spychana jest stale przez „dół” na możliwie dalekie miejsce, podczas gdy jednocześnie racja stanu wymaga, aby koncentrowała się na niej główna uwaga ośrodków dyspozycji gospodarczej w kraju. Sprzeczność ta przebija w całym szeregu dyskusyj gospodarczych, jakich świadkami jesteśmy w ostatnich czasach. Czy będzie to polemika na temat „frontu ku rynkowi wewnętrznemu” i „akcji anty-dumpingowej”, czy — konkretnie biorąc — zagadnienie nowej taryfy celnej, czy jakiegokolwiek inne zasadnicze zagadnienie gospodarcze, zawsze widzimy obraz jeden i ten sam: t. zw. sfery gospodarcze (przyznając nawet teoretycznie konieczność zwrócenia specjalnej uwagi na problemat wymiany towarowej z zagranicą) są w praktyce zwolennikami jaknajdalej idącego solipsyzmu gospodarczego, podczas gdy wypadki świata zewnętrznego coraz to silniej i silniej wskazują na kierunek wprost przeciwny.

I znów więc polityka handlowa znalazła się u nas zawieszona pomiędzy niebem a ziemią. Wołanie, jakie idzie ze wszech stron o ochronę rynku wewnętrznego, klóci się zasadniczo z tezą, zgodnie z którą należy za wszelką cenę ożywić obrót towarowy z zagranicą, aby, mimo przeszkód, jakie napotyka nasz wywóz, wygospodarować możliwie wysokie nadwyżki eksportowe. Polityka handlowa, która nie zdążyła się stać przejawem tendencji sfer gospodarczych, zmuszona jest obecnie w imię interesów finansowych państwa iść wbrew tym tendencjom. Powtarzają się — w innym nieco wydaniu — pierwsze lata po odzyskaniu niepodległości.

Wynikiem takiego stanu rzeczy jest głęboka sprze-

czność już nie tylko w samych nastrojach, ale wprost w praktyce polityki handlowej kraju. Stosunki gospodarcze pomiędzy poszczególnymi krajami skomplikowały się wskutek kryzysu niepomiarne. Dziś już nie wystarcza jeden traktat handlowy, regulujący całokształt stosunków pomiędzy dwoma krajami, ale potrzeba jeszcze dodatkowo całego szeregu takich czy innych umów, klauzul, kompensat, clearingów, kontyngentów, ulg celnych i t. d. i t. d. W większości państw Europy sfery gospodarcze, te sfery, które w istnieniu lub nieistnieniu danej umowy są najbardziej zainteresowane, biorą najczynniejszy udział w pracach polityczno - handlowych rządu. Starają się na własną rękę o kontakty zagraniczne, wytargowują dla siebie samych korzyści, układają się we własnym zakresie z zagranicznymi konkurentami, wskazują polityce handlowej rządu punkty ataków, organizują dla siebie obronę i t. d. i t. d. Polityka handlowa stoi tam na czołowym miejscu w hierarchji polityki gospodarczej rządów. Czy to będzie „imperjalna” dyskusja celna w Wielkiej Brytanji, czy „kontyngentowe” debaty francuskiej Confédération Générale de la Production, czy prace Reichsverband der deutschen Industrie, czy dyskusje preferencyjne w krajach naddunajskich, czy powstawanie (tak — powstawanie...) polityki handlowej w takich krajach, jak Holandia i inne kraje, ongiś całkowicie wolnohandlowe, wszędzie w hierarchji polityki gospodarczej państwa polityka handlowa wysuwa się na front. Idzie przecież nie o byle jaką stawkę — idzie o ochronę równowagi bilansu płatniczego. Warto się nad tem zastanawiać.

U nas zdołano dopiero, jak wskazaliśmy powyżej, zrozumieć rolę wymiany towarowej dla całokształtu sytuacji gospodarczej kraju w takiej chwili, jak obecna. Zrozumiano ją chwilowo teoretycznie. W praktyce nie widzimy dotąd wyników. Zakorzeniała niechęć do zajmowania się zagadnieniami handlu zagranicznego, do szukania dróg, sposobów, kompromisów czy układów odsuwa zagadnienia polityczno-handlowe ciągle z pierwszego planu zainteresowań — na plan dalszy. Polityka handlowa zasłużyła na awans w hierarchji polityczno - gospodarczej państwa, a doczekać się go nie może. Ba — wszyscy zgadzają się, że awansować powinna, ale dekretem nominacyjnego podpisywać niki nie chce. Jest ona chwilowo, jak ów podoficer, który w walce dowodzi kompanją i od którego zależy wynik starcia, choć pozostaje nadal tylko... podoficerem.

U W A G I

DWIE KONFERENCJE.

Współpraca resortów gospodarczych z przedstawicielami grup zainteresowanych jest u nas, jak wiadomo, bardzo ścisła. Jej wyrazem są rozliczne poufne i oficjalne konferencje, ankiety, powoływanie przedstawicieli życia gospodarczego do komisji opiniodawczych i t. p. Świat rolniczy przypisuje szczególnie wielkie znaczenie organizowanym corocznie w okresie przednowkowym dwudniowym konferencjom pomiędzy Ministerstwem Rolnictwa i reprezentacją całego zorganizowanego społeczeństwa rolniczego. Na tych konferencjach, z których ostatnia miała właśnie miejsce w dniach 10 i 11 czerwca b. r. bywa rozpatrywany bądź całokształt, bądź conaj-

mniej wielkie fragmenty polityki gospodarczej w zakresie obchodzącym rolnictwo, przyczem chodzi nie o ten lub inny szczegół, ale o ustalenie wytycznych tej polityki na cały następny rok gospodarczy.

Tu odrazu nasuwa się wątpliwość: czy nie daje się konferencji zadania nad siły. Liczne ciało zbiorowe może wyrazić *opinię* o tej lub owej koncepcji, ale nie może być organem właściwym dla *tworzenia koncepcyj*. Wprawdzie konferencję poprzedza pisemna ankieta, a podłożem dyskusji jest wyciąg z odpowiedzi na tę ankietę, jednakże wypadkowa z kilkudziesięciu odpowiedzi na dwadzieścia kilka pytań nie może dać czegoś, coby zastąpiło koncepcję. Stworzyć ją mogłaby jedna organizacja, albo grupa

współpracujących ludzi, albo nawet jednostka, a najłatwiej w dzisiejszych warunkach — powołane do tego Ministerstwo. Gdy jednak Ministerstwo w imię bezstronności i w dążeniu do wydobywania najprawdziwszej, niespaczonej woli społeczeństwa, zreagowało ankietę, wstrzymując się od wyraźnych sugestij, a na konferencji zajęło stanowisko. Jeżeli nie neutralnego obserwatora, to w najlepszym razie koordynatora, to dyskusja musiała się odbywać w różnych płaszczyznach równocześnie, nie mogła pogłębić tematów i jej znaczenie, jak również znaczenie powyższych uchwał musi pozostać — akademickie, pozbawione ciężaru gatunkowego. Podziwiać należy wysiłek przedstawicieli Ministerstwa, którzy podobnie jak sekretariat Ligi Narodów wyspecjalizowali się w eliminowaniu wszelkich sprzeczności, ostrości, wszystkiego, co mogłoby być niepożądane i znajdują ostateczną kompromisową formę redakcyjną, tak łatwą do przełknięcia dla wszystkich, że końcowe uchwały, tak w roku bieżącym jak i przeszłym, są przyjmowane jednomyślnie. Niepodobna jednak oprzeć się wrażeniu, że w tem przyjęciu na siebie przez Ministerstwo roli krytyka i cenzora, a narzuceniu społeczeństwu roli inicjatora, tkwi niejaki pomieszanie pojęć. Nikt oczywiście nie wątpi, że w praktyce Ministerstwo będzie nadal realizowało własne koncepcje, które zresztą w ostatnich latach prawie się pokrywają z opinią większości rolników. Czy jednak stwarzanie złudzenia, jakoby to społeczeństwo budowało koncepcję, przynosi jakikolwiek pożytek? Sądzę, że jasne i zgodne z rzeczywistością ustalanie odpowiedzialności jest zawsze dla obu stron zdrowsze. Jeżeli w społeczeństwie narodzi się słuszna, a choćby częściowo słuszna, inicjatywa, należy ją oczywiście jaknajstaranniej rozpatrzyć i ewentualnie zrealizować. Ale powierzanie, drogą ankiety najpierw pisemnej, potem ustnej, *niezorganizowanej* grupie społecznej wytworzenia planu polityki gospodarczej na rok jest fikcją i nie może być niczem innym.

Napisałem i podkreśliłem to słowo: „niezorganizowanej”. A przecież mowa właśnie o konferencji rolnictwa „zorganizowanego”. Jakże się rzecz ma w istocie?

Istnieje, jak wiadomo, wiele organizacji zawodowo-rolniczych oraz gospodarczych i kulturalnych, można zatem ich członków uważać za „zorganizowanych”. Ale daną grupę społeczną możemy uważać za zorganizowaną, bez cudzysłowu, gdy jej członkowie nie tylko wchodzą w skład różnych organizacji, ale nadto i przedewszystkiem są objęci przez organizację wspólną. Wtedy opinię takiej organizacji można uważać za głos całej grupy i niema już potrzeby zbierania sprzecznych opinij od mniejszych grup wchodzących w skład centralnej organizacji, a więc ponoszących współodpowiedzialność za jej politykę. Do takiego zorganizowania rolnictwa jest dość daleko. Istnieje wprawdzie Związek Organizacji Rolniczych Rzeczypospolitej Polskiej, ale organizacje będące jego członkami bynajmniej nie wyrzekły się na jego korzyść samodzielności własnych opinij, jak i własnego postępowania. Wytwarza się nieco paradoksalna sytuacja, uwidoczniła przez ostatnią konferencję z całą jaskrawością, gdy reprezentanci instytucji nadrzędnej i wchodzących w jej skład organizacji podrzędnych rozporządzają głosem równorzędnym i równorzędnie wyrażają opinie, biegunowo sprzeczne.

Wreszcie ostatnia osobliwość: oto w dwa tygodnie po omówionej konferencji ma się odbyć konferencja „sfer handlowych i przemysłowych”, dotycząca tego samego tematu (zbyt artykułów rolnych) co i poprzednia, oparta na prawie identycznym kwestjonariuszu ankietowym, organizowana przez Ministerstwo Przemysłu i Handlu. Jest zupełnie zrozumiałe, że to Ministerstwo, prowadząc prace nad zbytem wogóle i zbytem zagranicę w szczególności, jest zainteresowane w kształtowaniu polityki wywozowej. Można by również zrozumieć chociaż z tem już trudniej się zgodzić, że każde z ministerstw uważa organizacje bardziej zbliżone do swego zakresu działania za swoją klientelę, z którą utrzymuje kontakt, nie zaprasza zaś klienteli innych resortów, by nie stwarzać pozorów przekraczania kompetencji. Ten stan rzeczy był już nieraz krytykowany ze słusznego stanowiska, że każdy minister jest urzędnikiem całego Państwa, nie zaś tej lub innej grupy zawodowej. Rzecz nie miała jednak charakteru ostrości, dopóki konferencje odbywały się na różne tematy i w różnych terminach. Obecnie, oprócz wspólnego tematu i terminu, komunikaty prasowe wyraźnie zaznaczyły związek między obu konferencjami. Tu już normalny śmiertelnik musi wyrazić zdumienie: dlaczego zamiast dwóch konferencji nie zwołano jednej, na której obaj zainteresowani ministrowie i podlegli im urzędnicy usiłowałiby sprowadzić postulaty poszczególnych grup na wspólną płaszczyznę — dobra publicznego. Nie może być celem polityki państwowej pogłębianie egoizmów grupowych ani dawanie żeru plotkom o rzekomej konkurencji pomiędzy resortami i o braku koordynacji poczyniań rządowych. Pożytecznym jest, przeciwnie, podkreślanie potrzeby współpracy wszystkich grup interesów, oraz pogłębianie w społeczeństwie świadomości, że jest kierowane przez Rząd, stanowiący konsekwentną całość. Sądzę, że to jest truizm, a jednak jego zrozumienie widocznie nie dotarło jeszcze wszędzie, gdzie należy.

m. c.

GORĄCZKA ŻŁOTA.

Od czasu załamania się funta — waluty, zdawałoby się, niewzruszonej — obywateli szeregu państw kapitalistycznych ogarnęła prawdziwa „gorączka złota”. W pogoni za złotym kruszcem, którego Kłondykiem są skarbcze banków emisyjnych i zasoby hurtowników tego metalu, obywatele ponoszą heroiczne ofiary, do jakich w pierwszym rzędzie zaliczyć należy ograniczenie produkcji. Cóż bowiem innego oznacza tezauryzacja, czyli wycyfowanie z obrotów gotówki i zamiana jej na towar, nie idący w obieg? Tezauryzacja sprawia, że proces deflacji przebiega ostrzej i boleśniej, niż gdyby wyjęty z operacyj produkcyjnych pieniądz był przeznaczony na kapitalizację. W obecnych stanie rzeczy, w którym nutą dominującą jest gorączkowe poszukiwanie złota, nie ma miejsca ani na produkcję, ani na kapitalizację.

W wyniku powszechnego kryzysu zaufania, którego istotną przyczyną są nie dające się rozplątać sprzeczności interesów państw i kontynentów, ucieczka od banknotu i gwałtowne przerzucanie się na stronę kruszcu przybierają postać *masowej epidemji*. W ciągu niespełna 1½ roku zapasy kruszcowe 11 największych banków emisyjnych wzrosły netto o ca 1 miliard dolarów, przyczem w pięciu państwach —

nazwijmy je dłużniczymi — zmalały o 700 milj., a w 6 państwach — powiedzmy, wierzycielskich — wzrosły o 1,7 miljarda dol.; jednocześnie o ca 1 miliard dolarów spadły rezerwy dewizowo - walutowe tychże instytucyj. W odpowiednim stosunku kształtuje się przesunięcie popytu ze strony ludności obojętnych i pozostałych krajów; brak danych utrudnia uchwycenie tych przesunięć liczbowo, niemniej fakty z codziennego życia stwierdzają, że wbrew prorokom i marzycielom, podejmującym krucjaty przeciwko „złotemu cielcowi“, z każdym dniem zyskuje on na popularności.

Zjawisko przechodzenia od banknotu do kruszcu jest szczególnie jaskrawe w Polsce. Ludność Rzeczypospolitej nawet w najlepszych okresach „prosperity“ tezauryzowała w złocie. Ci, co swe oszczędności przechowywali w dolarach, obecnie wymieniają te ostatnie na złoto. Jeżeli dolary te były poprzednio całkowicie unieruchomione w skrytkach czy w pończosze, zamiana biletów z podobizną Washingtona czy Jeffersona na krążki, wyobrażające ostatniego cara Rosji, nie posiada — z punktu widzenia ekonomicznego (abstrahując od ceny, którą się płaci za tę wymianę) — żadnych cech ujemnych. Jeżeli natomiast do wymiany na złoto używane są dolary papierowe, obiegające w zastępstwie biletów Banku Polskiego, bądź same bilety, to powstaje niebezpieczeństwo, o którym wspominaliśmy na początku, że *proces deflacji zaostrzy się i pogłębi*. Gdyby zaś popyt na złoto ze strony szerokich mas społeczeństwa miał się wzmacniać w takim tempie, jakie obserwujemy obecnie ¹⁾, to zachodzi obawa, że może się on w niekorzystnych warunkach zewnętrznych przerodzić w run na kasy i ucieczkę od waluty krajowej. Byłoby to jedyne w swoim rodzaju *curiosum*, że uciekanoby od pieniądza obiegowego nie na korzyść innych walut, mocniejszych, lecz na dobro pieniądza, którego przeznaczeniem jest znajdować się w *bezruchu*.

Umyślnie sprowadzamy rzecz „ad absurdum“, aby unaocznić, że nawet przy tak wielkiej, jak obecna, depresji niema mowy o całkowitej repudjacji pieniądza papierowego. Pieniądz musi być w obiegu, musi pracować, musi działać. Złoto do tej roli naogół się nie nadaje, a i tezauryzacja jego posiada wiele stron technicznie ujemnych. Stąd nie można dopuścić ani na chwilę myśli, że złoto wyprze banknoty złotowe, że będzie panem sytuacji, jedynym środkiem płatniczym.

Rozpatrując na tem tle ostatnio wydane zarządzenia ze strony Banku Polskiego i Związku Banków w Polsce, dotyczące odmowy nieuzasadnionej gospodarczo sprzedaży walut i dewiz oraz złota, chcielibyśmy zaznaczyć, że zarządzenia te, aczkolwiek poważne, nie odegrają roli, jaką im powierzono. Nie przypuszczamy wszakże, aby wymiana banknotów dolarowych na złote ruble i dolary mogła wyjść poza granice, wykreślone ilością obiegających jeszcze banknotów, albowiem główną przyczyną tej wymiany są nastroje i pogłoski co do groźby krachu dolara. Gdyby jednak granice te zostały mimo wszystko przekroczone, to, znając nasze społeczeństwo, jakże dalekie od dyscypliny i karności wewnętrznej społeczeństwa angielskiego, możemy z całą pewnością

twierdzić, że nie powstrzyma go odwoływanie się do jego obywatelskich uczuć. W obecnym *prawnym* stanie rzeczy, kiedy tylko drobna ilość punktów sprzedaży złota zamyka swe okienka przed spekulantem i depozytarjuszem o słabych nerwach, łatwość dokonania omawianych tranzakcyj może zachęcać do ich kontynuowania. To też decyzje Banku Polskiego i Związku Banków traktować należy jako swego rodzaju *sygnał ostrzegawczy*, a nie jako reglamentację samą w sobie.

Na nieopanowane nerwy niema właściwie lekarstwa. „Gorączka złota“ jest jak tyfus, którego leczenie polega na przetrzymaniu momentów, niebezpiecznych dla organizmu. Chodzi więc tylko o sposoby, jakich tutaj używać należy. Nie mogą to być narkotyki, ale może być — *morek z lodem*.

O załamaniu się kursu pieniądza mowy być nie może. W czasie światowej depresji posiłkowanie się bronią dewaluacji jest całkowicie bezskuteczne. Można zyskać minimalnie, ale stracić b. dużo. *Wiarą w złoto jest zjawiskiem przejściowym a kosztownem*. Hasło: „ratuj się, kto może!“ w dzisiejszym układzie stosunków, w dzisiejszej strukturze gospodarczej ściągnie na tych, co się niem posługują, kary stokroć gorsze od nieszczęścia, którego chcą uniknąć.

k. b.

PATOLOGJA.

Pan Stefan Meyer w artykule swym p. t. „Interwencjonizm“ („Gospodarka Narodowa“ Nr. 8), rozróżnia 3 wypadki, kiedy rolę grupy branżowej, jako źródła inicjatywy dla działalności interwencyjnej rządu, bierze na siebie pojedyncza firma. Pierwszy wypadek polega właściwie na tem, że najbardziej ruchliwe przedsiębiorstwo toruje drogę całej branży do uzyskania tej czy innej pomocy ze strony państwa. Jest to zjawisko normalne i jako takie nie budzi wątpliwości i zastrzeżeń. Wzbudza je natomiast wypadek drugi, a mianowicie: firma posiada faktyczny monopol prywatny, a zatem jej wystąpienie do rządu ma na celu poprawienie własnych interesów petenta.

Nie są to jednak okoliczności, któreby można uważać za patologiczne. Dopiero trzeci wypadek, wyliczony przez p. Meyera, daje się bezwątpienia podciągnąć pod kategorię zjawisk gospodarczo patologicznych. Wypadek taki zachodzi wówczas, gdy „inicjatywa jednej z kilku firm branży uzyskuje interwencję, a z niej wyłącznie dana firma skorzystać może“. „Jest to — dodaje p. Meyer — wyraźne pasożytnictwo: ustrój, oparty na niem, nie jest interwencjonizmem...“

Powyższe uwagi nasuwają się każdemu, kto miał sposobność przejrzenia pewnego odcinka prasy, zajmującej się ostatnio kwestją — barwników, używanych do farbowania mundurów wojskowych. Jak podają te pisma (z „Prawdą“ łódzką na czele), Ministerstwo Spraw Wojskowych postawiło fabrykom włókienniczym, ubiegającym się o dostawę sukna mundurowego, warunek, że sukno będzie farbowane takim to a takim barwnikiem, dostarczonem przez taką to a taką firmę chemiczną.

Nie zajmowalibyśmy się tą sprawą, gdyby całe zagadnienie sprowadzało się do tego, że odbiorca dyktuje dostawcy określone warunki. Nie pisalibyśmy nawet wówczas, gdyby się okazało (a tak jest istotnie), że dostawcy nie są w stanie zadośćuczynić ża-

¹⁾ W 1931 roku import złota i srebra oraz monet złotych i srebrnych wyniósł 32.189.000 zł., w ciągu zaś pierwszych 5 miesięcy 1932 roku — 66.134.000 zł.

daniu odbiorcy, ponieważ określonego rodzaju barwników na rynku, ba! w samej fabryce jeszcze niema. Chcemy natomiast zabrać głos niejako „na stronie“, aby podkreślić pewne, naszem zdaniem, *skrzywienie* interwencjonizmu i skierowanie go na drogę, którą cytowany p. Meyer nazwał patologiczną, a nawet pasożytniczą.

O cóż bowiem chodzi? — Monopolistyczną dostawę artykułu, bez którego szereg krajowych przedsiębiorstw włókienniczych nie jest w stanie stanąć do przetargu, powierza się przedsiębiorstwu indywidualnemu. Co więcej — jest to przedsiębiorstwo o kapitale obcym. Co gorsza — przedsiębiorstwo to jeszcze... nie egzystuje, albowiem dopiero ma powstać i to dzięki temu, że ono, a nie kto inny, uzyskuje monopol na dostawę barwnika. Należy bowiem zaznaczyć, że — jak informują znawcy i zainteresowani — cena tego barwnika jest o wiele wyższa od ceny za barwniki obecnie używane. Powstająca tą drogą różnica jest rentą przedsiębiorstwa, zagwarantowaną mu zgóry przez urząd państwowy. Gdyby z renty tej (możemy przyjąć, że jest ona ekonomicznie i technicznie usprawiedliwiona) korzystała cała *branża*, nie widzielibyśmy ostatecznie w tem nic złego. Skoro jednak jeden z urzędów państwowych zamierza wspomnianej marży użyć jako magnesu dla przyciągnięcia kapitału zagranicznego, kosztem atoli krajowych wytwórni chemicznych (nawiasem dodamy, że m. in. kosztem fabryki, w której zgórą połowę kapitału posiada... Skarb Państwa), to w takim postępowaniu nie widzimy słusznej i celowej akcji interwencyjnej, a natomiast akcja ta jest zdeformowana i spaczona. „Czy nie jest śmieszną — dysproporcja — pisał p. Diamand — szukać źródła dla wewnętrznej kapitalizacji w zmniejszeniu płac, świadczeń i podatków przy równoczesnem dążeniu do przyciągania za *roszelką* cenę i w *każdej* formie dalszych kapitałów zagranicznych?“¹⁾

Cena, którą zamierza się zapłacić w omawianym wypadku, i forma, w jakiej ma ta zapłata nastąpić, cena — wygórowana, a forma — niewłaściwa: wszystko to przemawia, naszem zdaniem, za koniecznością oczyszczenia interwencjonizmu od wybujałości istotnie patologicznych.

z. i.

¹⁾ „Interwencjonizm i kapitalizacja wewnętrzna“ („Gospodar Narodowa“ Nr. 10). Podkreślenia nasze.

NIEWŁAŚCIWA OSZCZĘDNOŚĆ.

Ustawa z dnia 10 marca 1932 r. o przejęciu egzekucji administracyjnej przez władze skarbowe (Dz. U. Rz. P. Nr. 32 poz. 328) wywołała w czasie dyskusowania nad nią wiele hałasu, zastrzeżeń i sprzeciwów. Istotnie, wprowadza ona duże i doniosłe zmiany w dziedzinę procedury egzekucyjnej, komasując w rękach egzekutorów skarbowych pełnię władzy, rozproszoną dotychczas pomiędzy kilkoma kategoriami sekwestratorów.

Komasacja czynności egzekucyjnych, które wykonywują dotychczas oddzielnie egzekutorzy skarbowi, komunalni i inni, nie powinna budzić wątpliwości, gdyż w interesie płatnika leży jak najdalej idące uproszczenie uciążliwej i niemilej procedury sekwestracyjnej. Woli on niewątpliwie mieć do czynienia z jednym „komornikiem“, aniżeli z kilkoma, ustawicznie go nękającymi „delegatami“ wierzycieli.

Ze strony samorządów, które gros swych dochodów czerpią z podatków od nieruchomości i od lokali (podatki te wymierzają, ściągają i egzekwują władze komunalne), omawiana ustawa była i jest gorąco zwalczana. Samorządy obawiają się, że postępując w myśl nowej ustawy, Skarb Państwa łatwo może skrzywdzić gospodarkę komunalną, przetrzymując poprostu ściągnięte w imieniu gminy należności. O ile dotychczas gmina spieszyła się, aby co rychlej wyegzekwować od podatnika zalegające kwoty podatku, o tyle od jesieni b. r. Skarb będzie wypłacał gminie tylko jej część proporcjonalną, co nie może się nie odbić na funduszach komunalnych. Inna sprawa, czy z punktu widzenia ogólnie - ekonomicznego należy się upierać przy dotychczasowym „wyścigu egzekucyjnym lub — inaczej się wyrażając — dotychczasowej „gonitwie za podatnikiem“.

Nie podzielaając obaw samorządów co do opieszałości Skarbu Państwa w przekazywaniu gminom ich udziału w sumach wyegzekwowanych, skłonni jesteśmy wziąć stronę samorządów, z innego jednak punktu widzenia. W obecnym stanie rzeczy komunalne czynniki egzekucyjne tworzą aparat o dużej sprawności technicznej. Zasluge tego przypisać należy głównie systemowi wynagrodzenia sekwestratorów. Ci ostatni otrzymywali w stolicy uposażenie ok. 300 zł. miesięcznie, a wymagano od nich wykonania 600 „pozycji“ (protokołów zajęcia lub inkasa) miesięcznie. Za pozycje, przekraczające powyższe zasadnicze „pensum“, sekwestrator otrzymywał premję w wysokości 60 gr. od każdego protokołu zajęcia i 70 gr. od każdej pozycji zainkasowanej. Tą drogą sekwestratorzy miejscy zarabiali od 600 do 1.000 zł. miesięcznie. Czy było to uposażenie nadmierne — trudno ocenić, należy jednak wziąć pod uwagę, że stanowisko egzekutora do łatwych i wygodnych absolutnie nie należy, a samorządy były zadowolone z wyników działalności swych sekwestratorów.

Zgódźmy się jednak z tymi, którzy twierdzą, że egzekutor „nie powinien“ zarabiać tyle, co dyrektor departamentu. Ale czy mamy również przyznać rację tym, którzy dowodzą, że egzekutor skarbowy, płatny według X, a nawet XI stopnia, bądź też pobierający „dniówki“ po 8 złotych, i pozbawiony jakichkolwiek premij, będzie pracował wydatniej? Że redukcja personelu sekwestratorskiego jest konieczna z uwagi na kumulację rozproszonych dotąd czynności, to jeszcze nie dowodzi, że system indywidualnego wynagradzania egzekutorów, diametralnie sprzeczny z dotychczasowymi metodami, stosowanymi przez gminy, ma doprowadzić do lepszych, a nawet takich samych rezultatów. Mamy więc dostateczne powody do obaw, że tą drogą wydajność skomasowanej akcji egzekucyjnej zostanie obniżona kosztem Skarbu Państwa i samorządów, a także kosztem „moralne“ władz podatkowych.

s. b.

Sprostowanie:

W Nr. 11 „Gosp. Nar.“ na str. 176 w lewej szpalcie wiersz 6 od góry zamiast — 767 powinno być — 233 milj. zł.

POLEMIKA

JESZCZE O DEKRECIE WĘGLOWYM

W zmiątku z zamieszczonemi w Nr. 10 „Gospodarki Narodowej” przez p. Edwarda Rosego uwagami w sprawie dekretu węglowego.

Notatka p. t.: „Regulowanie obrotu węglem”, ogłoszona w zeszycie 8 „Gospodarki Narodowej” nastroczyła p. E. Rosemu szereg zastrzeżeń powodując stwierdzenie „szeregu błędów”, na które pragnie zwrócić uwagę czytelnika.

Ze względu na wagę zagadnienia pragnąłbym oświetlić zgłoszone przez p. E. Rosego zarzuty i ocenić, czy i o ile są one uzasadnione.

1. Nie umiem sobie wytłómaczyć, dlaczego luty 1932 r. nie nadaje się do porównania z lutym 1931 r. Wszak w każdym roku panuje w tym okresie zima i istnieją przeszkody w postaci zamarzania szeregu portów.

2. Nie umiem również zdać sobie sprawy, dlaczego wywóz (nie wydobywanie) znajdować się ma w ścisłej relacji do ilości dniówek roboczych, szczególnie w wypadku, gdy wywóz ten daleki jest od maksymalnych cyfr lutowych.

3. Nie rozumiem wreszcie, dlaczego o zmniejszeniu wywozu w lutym 1932 r. **zadecydować** miał str. w Zagłębiu Dąbrowskiem, którego udział w eksporcie jest dość skromny, **tembardziej**, że w lutym tego roku zapasy węgla na zwałach przewyższały normalne dwumiesięczne zapotrzebowanie.

4. Skłonny jestem natomiast z p. E. Rose przypuszczać, że osiągnięte w lutym 1932 r. wyniki spowodowane zostały raczej „sytuacją”, która „miała z konieczności(?) przejściowy charakter oraz tem, że aktywność eksportowa w kierunku zawierania „umów na długie terminy z góry” została nie wiem czy słusznie zatamowana.

Wobec tego twierdzenie moje o zmarnowaniu okresu październik 1931 — luty 1932 właśnie w kierunku przygotowywania długoterminowych umów eksportowych, nie wydaje mi się ani „co najmniej przedwczesnem” ani „całkowicie dowolnem”.

5. Uznany przez p. E. Rosego za „właściwą miarę oceny wysiłku eksportowego przemysłu” odsetek wywozu w stosunku do całego zbytu węgla, wynosił jeszcze w marcu b. r. 34.63% i dopiero w kwietniu zbliżył się do cyfr z grudnia 1931, dochodząc do 42.36%. Okoliczność ta uzasadnia pośrednio twierdzenie o osłabieniu aktywności eksportowej w omawianym okresie.

6. Uznane przez p. E. Rosego za „bardzo wymowne” przytoczone w mojej notatce dane dotyczące października 1931 r. i lutego 1932 r., w okresie październik 1931 — kwiecień 1932 tracą znaczną część tej wymowności jak to wynika z poniższych zestawień.

	X.1931	IV.1932
Wydobycie w 1000 tn	3.563	2.570
Zmniejszenie wydobywania w proc. —	—	37%
Ilość zatrudn. robotn.	114.665	108.860
Zmniejszenie w proc.	—	5%
Wydobycie w 1000 tn.	3.661	2.908
Zmniejszenie w proc.	—	11%
Ilość zatrudn. robotn.	107.382	95.175
Zmniejszenie w proc.	—	21%

Jeżeli porównać oba zestawienia i uwzględnić działanie w okresie 1931/32 funduszu wyrównawczego, „rażąca dysproporcja”, o której wspomina p. E. Rose, przedstawi się nam w nieco odmiennym świetle,

tembardziej, że wszak utworzenie funduszu wyrównawczego i obniżka płac powinna była według założenia przyczynić się do utrzymania dotychczasowego stopnia zatrudnienia.

7. p. E. Rose uznaje spostrzeżenia moje o spadku w lutym 1932 r. wywozu węgla do krajów skandynawskich nie tylko z Polski, ale i z Anglii za „w zasadzie ścisłe”, uważa jednak za możliwe zmniejszenie zapotrzebowania o 125.000 ton (ok. 20% spożycia), przypisywać li tylko przesileniu panującemu w krajach skandynawskich „a nawet aferze Kreugera, która widocznie posiadać ma działanie wsteczne. W takich warunkach moje przypuszczenia o pojawieniu się na rynku skandynawskim nowego kontrahenta wydaje się być znacznie więcej zbliżone do rzeczywistości.

8. W sprawie „szematycznych recept ścisłego trzymania się warunków umowy i używania dobrego pośrednictwa”, które zdaniem p. E. Rosego: „niewiele tu pomogą”, pragnąłbym odwołać się do sprawozdania złożonego swym mocodawcom przez angielskiego wice-ministra górnictwa p. Shinwell’a, delegowanego do krajów skandynawskich i do Danii w r. 1931. Min. Shinwell bowiem najzupełniej tak samo „szematycznie” podkreślił straty, jakie ponosi eksport węglowy angielski właśnie z powyżej wymienionych powodów.

9. Co do „braku dostatecznej znajomości przedmiotu”, przy której „udzielanie praktycznych wskazówek postępowania nie ułatwi sytuacji” trudno mi głoś zabierać. Natomiast zaznaczyć muszę,

a) że bynajmniej nie o to chodzi, czy przypomnienie o cennych właściwościach węgla polskiego jest nowe czy nie nowe, lecz o to, o ile fakt ten zostanie we właściwy sposób w walce konkurencyjnej wykorzystany,

b) że nie chodzi również o stałych konsumentów węgla polskiego, lecz o to, by zasięg zapotrzebowania węgla polskiego powiększyć,

c) że ci „potencjalni” konsumenci węgla polskiego orjentować się co do jego właściwości mogą jedynie na podstawie wątpliwych informacji agentów importerów konkurencyjnych, a w najlepszym wypadku ze zbiorów analiz węgla, jak:

Franz Schwackhöfer. Die Kohlen. Wien 1928.

Dr. Aufhäuser. Brennstoff-Untersuchungen. Hamburg.

które węgiel polski traktują przygodnie i niekoniecznie bezstronnie. Nie nowym jest ponadto fakt, że analogiczne polskie opracowanie tego zagadnienia z woli przemysłowców węglowych pomimo wydania go w druku znajduje się dotychczas na indeksie.

d) że zgadzając się z p. Rose co do tego, „że decyzyje co do przetargów nie są wydawane tylko na podstawie cen i analiz węgla oferowanych przez kopalnie polskie, lecz przy uwzględnieniu całego szeregu innych niekoniecznie nawet gospodarczych momentów”, nie mogą zrozumieć dlaczego żądanie „używania dobrego pośrednictwa” uważa p. E. Rose za receptę szematyczną. Czyżby istotnie przypusz-

czał, że posługiwanie się agentem reprezentującym jednocześnie przedsiębiorstwa konkurencyjne, albo pośrednikiem pracującym w kraju konkurencyjnym, zamiast w kraju importującym, może być bardziej wskazane?

10. W ocenie znaczenia standaryzacji węgla eksportowego wreszcie potępiony zostałem przez p. E. Rosego na równi z min. Shinwellem, który wbrew p. E. Rose za jedną z głównych przeszkód w rozwoju eksportu węgla angielskiego uważa właśnie tę okoliczność, „że w każdym zagłębiu angielskim kilkadziesiąt kopalń sprzedaje węgiel według różnorodnych sortymentów”.

Polemikę z twierdzeniem p. E. Rosego, jakoby standaryzacja miała eksport jakiegokolwiek artykułu masowego utrudnić uważam na łamach „Gospodarki Narodowej” za zupełnie zbłądną. Wydaje się, że w

w. XX tego rodzaju poglądy nie powinny już mieć miejsca, skoro, mówiąc o przystosowaniu się do potrzeb eksportu, eksport ten oceniać będziemy nie tylko ilościowo, ale i jakościowo.

Na zakończenie tej przydługiej dyskusji pragnąłbym zaznaczyć, że ani w notatce mojej, ani w powyższych uwagach uzupełniających bynajmniej nie kwestjonowałem ciężkiego położenia górnictwa węglowego w Polsce. Nie uważałem jednak ani nie uważam łamów prasy fachowej za właściwe do owijania istoty rzeczy ad usum Delphini w bawelnę lub do pokrywania jej jakimś plasterkiem angielskim, zamiast rozprawienia się z trudnościami i z przeszkodami, jakie na prowadzącej do celu drodze omijać lub przewyciężać należy.

PJ.

NOTATKI

WARTO POMYŚLEĆ.

Polskie pożyczki zagraniczne, ulegając ogólnej koniunkturze rynku amerykańskiego, zarówno na giełdzie pieniężnej w Nowym Yorku, jak i na giełdach europejskich, notowane są nisko.

Głównym rynkiem dla polskich pożyczek jest Ameryka, dlatego też przy badaniach i obliczeniach będę operował zjawiskami, związanymi z tą giełdą.

Kursy trzech polskich pożyczek państwowych emitowanych w Ameryce i 1 pożyczki emitowanej we Włoszech, podaję poniżej w zestawieniu na koniec miesiąca.

POŻYCZKI	VI 1931	IX 1931	XII 1932	I 1932	II 1932	III 1932	IV 1932
8% dillonowska	80	51	49	53	57	60	52
7% stabilizacyjna	74	50	47	53	54	57	50
6% dolarowa 1920 r.	71	50	48	52	56	59	56
6% włoska	100	99	—	94	95	97	96

Kursy oparte na obliczeniach Głównego Urzędu Statystycznego, podane są w procentach nominalnej wartości.

Obserwując zjawisko zniżki kursów pożyczek od września 1931 roku począwszy, możemy postawić sobie pytanie, jaką korzyść mogłoby osiągnąć państwo, gdyby wykupiło przedterminowo pożyczki na rynkach zagranicznych.

Ogólna suma zadłużenia państwa wobec zagranic na dzień 1 stycznia 1932 r. wyraża się liczbą 4.570 milj. zł., w tem z tytułu pożyczek emisyjnych zadłużenie wynosi 1.080 milj. zł., a mianowicie:

8 proc. poż. dillonowska	— 225	„	zł.
7 „ „ stabilizac.	— 557	„	„
6 „ „ dolar. 1920 r.	— 174	„	„
7 „ „ włoska	— 174	„	„

Razem 1.080 „ „

Splata pożyczek oraz wypłacanie odsetków odbywa się według planu amortyzacyjnego, dosyć ściśle przestrzeganego przez Ministerstwo Skarbu. Zachodzi pytanie, jakie korzyści osiągnęłyby można

przez wykupienie chociażby części pożyczek przed terminem ich amortyzacji po kursie dnia. Jeżeli weźmiemy idealny wypadek, że Skarb Państwa posiadałby odpowiednie zapasy wolnych kapitałów, że wszystkie obligacje pożyczek mogłaby nabyć na rynku i że kurs pożyczek pozostałby bez zmiany, to pożyczki mogłaby kupić za sumę, jak poniżej po kursie ostatniego dnia 1931 roku.

P o ż y c z k i	Kurs ost. 1931	Sumy w milj. zł.
8% dillonowska	50	112
7% stabilizacyjna		
transza dolarowa	48	223
transza funtowa	67	49
6% dolarowa 1920 r.	50	87
7% włoska	94	135
R a z e m		606

Innemi słowy wykupując pożyczki po kursie dnia, Skarb Państwa zarobiłby 474 miliony złotych plus procenty, które musi wypłacać do dnia amortyzacji pożyczek.

Oczywista rzecz, że rozumowanie to jest ściśle teoretyczne, oparte aż na kilku „jeżeli...” i zastosowania praktycznego mieć nie może. Pozwoliłem jednak sobie je przytoczyć dla jaskrawszego ujęcia zagadnienia.

Przechodząc do rzeczy realnych, muszę zaznaczyć, że przedterminowe skupywanie pożyczek mogłoby mieć miejsce w stosunku chociażby do drobnej części emisji. Takie skupywanie ma dwie dodatnie strony. Pierwsza, już omówiona — to zysk na różnicy między ceną dnia a kursem wykupu przy amortyzacji. Drugim walorem tej akcji byłoby wytworzenie na rynkach zagranicznych popytu, co bezwątpienia wpłynęłoby na podniesienie poziomu kursów.

Kursy naszych pożyczek, pozostawione bez interwencji z czwjejkolwiek strony, znalazły się na niskim poziomie. Utrzymanie kursów na wysokim poziomie wzbudza zaufanie do polskich pożyczek przy ewentualnych następnych emisjach, o co jednak

dbać należy, mimo, że na razie niema widoków na zyskanie kapitałów drogą emisji papierów państwowych.

Dziś rozważania moje mają raczej charakter „akademickiej dyskusji“, bo przecież Polska jest w trudnych warunkach kapitałowych. A więc narazie nie może być mowy o asygnowaniu kapitałów na cele omawiane, gdy jednocześnie wykorzystuje się kredyty w Banku Polskim.

W przyszłości jednak, przy pewnej poprawie, warty może nad temi rzeczami pomyśleć, a może i wprowadzić je w życie.

b. p.

DUŻO CZY MAŁO?

Jedną z najbardziej ulubionych „teoryj“, wyjaśniających przyczyny współczesnego kryzysu gospodarczego w Polsce, jest teoria, w myśl której winowajcy kryzysu szukać należy w szczupłości obiegu pieniężnego. Vox populi skłonne jest dopatrywać się „causa efficiens“ naszej biedy w — braku pieniędzy. Pieniądze — to wszakże ilość gotówki, tej brzęczącej i szeleszczącej, którą się widzi i słyszy. Tę ludową interpretację przyczyn kryzysu niektóre pisma i niektórzy „ekonomiści“ uzupełniają statystyką, z której jak na dłoni widać, że obieg pieniężny, przeliczony na głowę ludności, jest w Polsce nieszczególnie niski, poprostu nie do spostrzeżenia. Natomiast, panie dziejku, taka Francja, Anglja, Szwajcarja albo nawet Danja: tam dopiero pieniądza jest wbród, tam wspomniane przeciętne aż biją w oczy!.. Istotnie, gdy się tą metodą porównywa obieg pieniężny (w przeliczeniu na 1 mieszkańca), Polska jest na szarym końcu. Podczas gdy we Francji obieg wynosił (w 1929 r.) 64,5 dolara, w Belgji 50,7 dol., w Szwajcarji 47,5 dol., w Holandji 44,2 dol., w Stanach Zjednoczonych 39,8 dol., w Anglji 39,2 dol. i t. d., to w Polsce wypadało zaledwie 5,8 dol., a więc przeszło trzykrotnie mniej, niż przeciętnie w całej Europie (21,9 dol.). Polskę „bija“ in minus jedynie Bułgarja z 4,5 dol. i Litwa z 4,1 dol. Natomiast in plus jesteśmy pokonani przez takie słabe organizmy gospodarcze, jak Estonja (8,2 dol.), Jugosławja (7,5 dol.), Łotwa (8,4 dol.) i Rumunja (7,2 dol.).

Obieg pieniężny (obieg biletów banku emisyjnego w pierwszym rzędzie) nie jest wielkością oderwaną, lecz posiada pewną funkcjonalną zależność od innych elementów życia gospodarczego. W szczególności związek ten istnieje pomiędzy wielkością obiegu a obrotami handlu zagranicznego. Gdy te ostatnie, przez które rozumiemy sumę dwóch stron bilansu handlowego, podzielimy przez ilość mieszkańców, to się również okaże, iż Polska jest na szarym końcu, skoro w 1929 r. na 1 jej mieszkańca przypadało zaledwie 21 dol., podczas gdy przeciętna dla całej Europy (z Rosją Sowiecką włącznie) sięga 67 dol. W najbliższem z nami sąsiedztwie znajdują się: Bułgarja (18 dol.), Jugosławja (20 dol.) i Rumunja (20 dol.). Natomiast główne „rekordy“ zdobyły: Szwajcarja (226 dol.), Belgja (233), Holandja (243) i Danja (251). Na przeciwnym krańcu stoi Rosja Sowiecka z 6 dol.

Dla wykazania związku przyczynowego pomiędzy wielkością obrotów towarowych z zagranicą a wielkością obiegu pieniężnego przeliczmy przeciętne obroty (w dolarach na 1 m-ca) w odsetkach przeciętnych obrotów (w dolarach na 1 m-ca). Okaże się wówczas, że w całej Europie w 1929 r. (gdy obieg i o-

broty handlu zagranicznego osiągnęły naogół swoje optimum) stosunek ten wyrażał się 33%. Co ciekawsze państwa europejskie dadzą się zgrupować w 3 obozach: do I zaliczymy te kraje, gdzie wspomniany stosunek nie przekraczał 16%, do II — kraje z odsetkiem max. 33%, do III — pozostałe kraje. Do I grupy należą:

Finlandja	10%
Danja	11%
Irlandja	13%
Łotwa	13%
Estonja	14%
Litwa	15%
Szwecja	16%

Charakterystyczne jest to, że oprócz Irlandji wspomniane państwa są państwami bałtyckimi, jakgdyby ten moment geograficzny miał wpływ jednakowy tak na obroty handlu zagranicznego, jak i na wielkość obiegu. Niskie odsetki tłumaczą się znacznymi przeciętnymi obrotów towarowych z zagranicą: wszystkie wymienione kraje posiadają znaczne krajów par excellence eksportowych, przyczem ich nadwyżki (głównie surowcowe) są stosunkowo wielkie w porównaniu z ludnością. Innemi słowy w krajach surowcowych, handlowo czynnych, obieg pieniężny (w liczbach względnych) jest niewielki, gdyż większego obiegu nie domaga się stosunkowo słaby rozwój rodzimego przemysłu i rodzimej bankowości.

II grupę stanowią:

Holandja	18%
Norwegja	18%
Anglja	20%
Austrja	20%
Czechosłowacja	20%
Szwajcarja	21%
Belgja	22%
Węgry	23%
Bułgarja	25%
Grecja	25%
Niemcy	25%
Polska	28%

W tej najliczniejszej grupie spotykamy — poza Norwegją i poniekąd Bułgarją, które raczej powinny być trafić do grupy poprzedniej — państwa środkowej i południowo - wschodniej Europy bądź o charakterze mieszanym, rolniczo - przemysłowym, bądź z przewagą przemysłu nad rolnictwem. Uderza, iż w grupie tej — dla polskich stosunków gospodarczych najbardziej nadającej się do porównania — Polska zajmuje ostatnie miejsce, co dowodzi, że jej obieg pieniężny bynajmniej do szczupłych zaliczony być nie może.

W III grupie figurują:

Rumunja	36%
Jugosławja	38%
Włochy	47%
Portugalia	51%
Francja	64%
Hiszpanja	70%

To, że grupa III-cia obejmuje kraje — prócz Jugosławji — lacińskie, może być zbiegiem okoliczności, nie będzie nim jednak fakt, że wszystkie bez wyjątku kraje — o dużej zresztą przewadze rolnictwa nad przemysłem — przeszły przez wieloletnią inflację o skutkach wybitnie dewaluacyjnych. Reformy walutowe zastały więc obieg pieniężny „rozbudowa-

ny" szeroko, a konsekwencją tego stanu rzeczy jest, iż stosunek obiegu do obrotów handlu zagranicznego wypadł b. wysoki.

Nie przesadzamy, że nasza metoda porównań jest jedyna przy określaniu wysokości obiegu pieniężnego w danym kraju. Twierdzimy tylko, że o wysokości tej można mówić dopiero wówczas, gdy się pod uwagę weźmie jej „powinowactwo” z innymi wskaźnikami strukturalnej budowy życia gospodarczego.

k. b.

KREDYTY I NALEŻNOŚCI ZAGRANICZNE BANKÓW POLSKICH.

Kredyty zagraniczne otrzymane przez polskie instytucje kredytu krótkoterminowego maleją z kwartału na kwartał, co jest zupełnie zrozumiałe wobec ogólno-światowych tendencji przyciągnięcia kapitałów obcych, a w braku możebności uskutecznienia tego, ściągnięcie z zagranicy kapitałów własnych.

Według publikacji Głównego Urzędu Statystycznego w ostatnich paru latach najwyższy stan kredytów otrzymanych od zagranicy wypadła na połowę roku 1930 i osiąga poziom 699 milionów złotych.

Od tego czasu zagranica stale wycofuje kredyty udzielone dla bankowości polskiej, jedynie ogólna wartość kredytów wzrasta w drugim kwartale 1931 roku dzięki powrotowi kredytów z Anglii, które zresztą w podwójnej ilości odpłynęły zaraz w następnym kwartale. Największe wycofanie kredytów nastąpiło w trzecim kwartale r. ub., dzięki znanym perturbacjom finansowym w całym świecie. Następnie dwa kwartały przyniosły dalsze wycofanie kredytów zagranicznych z Polski.

Obok uprzytomnienia sobie ogólnej sumy kredytów otrzymanych, warto zastanowić się nad rodzajem tych kredytów. W tym celu podaję zestawienie kredytów według rodzajów w ostatnich paru latach w milionach złotych:

Rodzaj kredytów	30.VI 1930	31.XII 1930	30.VI 1931	31.XII 1931	31.III 1932
bezterminowe	202	155	184	118	105
terminowe	371	356	353	173	142
pocztowe	22	26	18	8	7
redyskonto dewiz	40	37	35	11	8
rachunki centrali w oddziałach zagranicznych w Polsce	64	66	69	91	84
O g ó ł e m	699	640	659	401	346

Widzimy zatem, że w pierwszym rzędzie wycofane zostały kredyty terminowe; kredyty bezterminowe, dające się łatwiej wycofać, zmalały również, lecz nie tak intensywnie.

Wycofywaniu nie podlegają kredyty otrzymane przez oddziały zagranicznych banków w Polsce, bowiem centralom zagranicznym zależy, ażeby ich oddziały mogły jaknajlepiej pracować w ogólnej ciężkiej konjunkturze dla banków w Polsce.

Najpoważniejszym i największym wierzycielem banków w Polsce jest Anglia i kredyty otrzymane od niej do momentu załamania się funta stanowiły najwyższą pozycję wśród kredytów szeregu państw. Najwyższy stan kredytów, otrzymanych od Anglii przypada na koniec roku 1930 i wynosi 179 milionów złotych. W łwiej części były to kredyty terminowe

— 138 milj. zł. Generalne wycofywanie kredytów nastąpiło w trzecim kwartale roku ubiegłego i stan ten kredytów utrzymał się do końca roku 1931 na poziomie 95 milionów złotych, w tem kredyty terminowe zmalały do 80 milionów złotych. Do końca pierwszego kwartału kredyty terminowe zmalały do 56 milionów złotych; jednocześnie na uwagę zasługuje niewielki wprawdzie wzrost kredytów terminowych. Kredyty pocztowe i redyskonto dewiz maleją również, stanowią jednak nikłą pozycję.

Drugim z kolei wierzycielem banków w Polsce są Niemcy. Kredyty te uległy bardzo nieznacznej stosunkowo redukcji. Najwyższy stan kredytów otrzymanych z Niemiec przypada na połowę roku 1929 i wynosi 135 milionów złotych, w tem połowę stanowiły kredyty dla oddziałów banków niemieckich w Polsce — 70 milionów złotych. Kredyty bezterminowe wynoszą 42 miliony złotych, terminowe — 14 milionów złotych.

Najniższy poziom kredytów przypada na koniec 1930 roku i wynosi 83 miliony złotych, w tem kredyty dla oddziałów niemieckich banków w Polsce stanowią sumę 24 milionów złotych, kredyty bezterminowe 33 miliony złotych i kredyty terminowe — 21 milionów złotych.

Od tego czasu następuje wzrost kredytów dla oddziałów banków niemieckich w Polsce oraz wycofywanie znaczne kredytów bezterminowych, mniej znaczne terminowych. Na koniec pierwszego kwartału 1932 ogólny stan kredytów wynosi 90 milionów złotych, w tem kredyty dla oddziałów banków niemieckich w Polsce — 67 milionów złotych, kredyty bezterminowe 4 miliony złotych, terminowe — 18 milionów złotych.

Na trzecim miejscu znajdują się kredyty Francji, najwyższy poziom których, przypadający na koniec 1930 roku, wynosi 104 miliony złotych, w tem kredyty terminowe stanowią 59 milionów złotych, bezterminowe — 8 milionów złotych i kredyty dla oddziałów banków francuskich w Polsce — 33 miliony złotych. Do końca marca 1932 roku kredyty maleją o połowę i stanowią 55 milionów złotych, w tem kredyty terminowe — 28 milionów złotych, bezterminowe — 10 milionów złotych i dla oddziałów banków francuskich — 14 milionów złotych. Widzimy więc, że kredyty bezterminowe utrzymały się na poziomie. Inne kredyty uległy proporcjonalnej redukcji. Kredyty kilku innych państw, jednak dość znaczne, podajemy w małych zestawieniach (w milionach złotych):

A U S T R I A .

	najwyższy poziom 31-XII 1929	najniższy poziom 31-III 1932
Ogółem	97	40
terminowe	28	23
bezterminowe	65	16

Wycofano więc głównie kredyty bezterminowe.

S T A N Y Z J E D N O C Z O N E .

	na wyższy poziom 30-VI 1930	najniższy poziom 31-III 1932
Ogółem	69	11
bezterminowe	9	8
terminowe	45	2
pocztowe	12	1

Ameryka wycofała więc prawie wszystkie swoje kredyty.

H O L A N D J A.

	poziom najwyższy 31 III. 1930	najniższy poziom 31 III. 1932
Ogółem	70	32
bezterminowe	32	31
terminowe	38	1

Holandja wycofała wszystkie kredyty terminowe. bezterminowe pozostały na poziomie.

Inne państwa w bardzo nieznacznej części biorą udział w kredytowaniu banków polskich.

Należności zagraniczne bankowości polskiej również maleją, jednak w nieco mniejszym stopniu, aniżeli zmalały kredyty otrzymane.

Oto stan należności zagranicznych w milionach złotych:

30.VI 1930	181
31.XII „	183
30.VI 1931	157
31.XII „	142
31.III 1932	133

Głównie są to należności bezterminowe, następnie weksle płatne zagranicą i salda debetowe rachunków oddziałów polskich banków zagranicą.

Odejmując należności od kredytów otrzymanych, stwierdzamy, że zadłużenie bankowości polskiej zmalało z 718 milionów złotych na dzień 30.VI.1930 na 213 milionów złotych na 31.III.1932.

Bankowość polska pozostaje nadal dłużnikiem szeregu państwa. Są jednak i dłużnicy, a mianowicie Czechosłowacja — saldo 2 miliony złotych, Stany Zjednoczone — 9 milionów złotych, Szwecja — 3 miliony złotych, państwa oznaczone nazwą „inne“ — 23 miliony złotych.

W stosunku do Niemiec, po odjęciu kredytów dla oddziałów niemieckich banków w Polsce, banki polskie są dłużnikami tylko do wysokości 1 miliona złotych.

b. p.

UZASADNIONA „DZIKOŚĆ“.

Gdyby ktoś nieznający życia gospodarczego Polski starał się je poznać na podstawie artykułów w prasie codziennej, czy przez zapoznanie się z rozmaitymi enuncjacjami, czy memorjami t. zw. sfer gospodarczych, to zapewne byłby przekonany, iż klimat Polski kryje w sobie jakieś tajemnicze własności, dzięki którym w pewnych okresach czasu całe gałęzie gospodarki narodowej ogarnięte są przez pewne nagminne choroby. Choroby te w pewnych wypadkach są stałe, w innych zaś występują perjodycznie.

Najgorzej jest z handlem. Tutaj są już stałe „niezdrowe stosunki“. Jak mają wyglądać „zdrowe stosunki“, przy chronicznym w Polsce braku kapitałów, przy braku koniecznych urządzeń (chłodni, śpichrzów etc.), oraz przy dużej podaży rąk roboczych, tego nie wie właściwie nikt. Musi być jednak przecież jakaś przyczyna, dla której się nie udają rozmaite eksperymenty organizowania życia gospodarczego!

O tych „niezdrowych stosunkach“ w handlu, stawiących wygodną przyczynę niepowodzenia wszelkich akcji „normowania“ życia gospodarczego kraju,

da się jedynie stwierdzić z całą pewnością, iż można do nich zastosować powiedzenie Roda Roda o Austrii, że jest „jak sznycel, im więcej ją biją, tem jest większa“. Podobnie jest z niezdrowymi stosunkami w handlu, im intensywniej się je uzdrawia „administracyjnym porządkiem“, tem bardziej niezdrowymi się stają. „Uzdrawianie“ handlu przez szereg przepisów administracyjnych zwiększa tylko jego ryzyko, a przez to powiększa jego koszty. Prawie nigdy nie zostaje osiągnięty cel ostateczny — zmniejszenie rozpiętości cen między producentem, a konsumentem. Wręcz przeciwnie — rozpiętość ta podlega znacznie większym wahaniom, ponieważ ceny regulowane przez przepisy administracyjne są z natury rzeczy mniej elastyczne od cen, kształtujących się w wolnym obrocie. Najwięcej się słyszy o „niezdrowym handlu“ w zakresie artykułów spożywczych t. zw. pierwszej potrzeby. Jako ideał wysuwa się tu możliwość bezpośredniej sprzedaży tych artykułów przez producenta-rolnika konsumentowi miejskiemu. Haśło to „od producenta do konsumenta“ było bardzo popularne nie tylko u nas, lecz wśród rolników całego szeregu innych państw. Specjalnie silny oddźwięk znalazło ono bezpośrednio po wojnie w Stanach Zjednoczonych Am. Półn. Przez poczynione tam doświadczenia wykazano, iż przy zastąpieniu handlu prywatnego przez spółdzielnie producentów, sprzedające bezpośrednio spółdzielniom konsumentów, dało się oszczędzić najwyżej ok. 3% kosztów własnych pośrednictwa. W naszych warunkach jest rzeczą wątpliwą, czy dałoby się obniżyć koszty pośrednictwa nawet o taki odsetek.

Jedynym sposobem uleczenia „niezdrowych stosunków“ w handlu jest budowa dróg, mostów, śpichrzy, chłodni, regulacja rzek i t. d., a więc pośrednie, a nie bezpośrednie środki obniżenia kosztów pośrednictwa.

Obok „niezdrowych stosunków“ w handlu, drugim ulubionym terminem jest „dzika konkurencja“. Środkiem zaradczym na dziką konkurencję w zakresie produkcji przemysłowej są rozmaite kartele i organizacje karteloidalne. Działalność ich polega po prostu na tem, by zapewnić swym członkom zyski większe, niż przy wolnej konkurencji tak, by jeszcze najgorzej i najdrożej pracujący z nich też jeszcze zarobił. Czy taki środek zwalczania dzikiej konkurencji nie wywołuje jednak więcej perturbacji w życiu gospodarczym od niej samej?

W rolnictwie koszty przeciwdziałania „dzikiej konkurencji“ ponosi państwo. Przez zakupy interwencyjne stara się uchronić producenta od ryzyka spekulacji. Czy koszty tej ochrony nie są proporcjonalnie znacznie wyższe od strat, które mogłyby spaść na producenta wskutek „dzikiej podaży zboża na jesieni“, nie wie właściwie nikt dokładnie. Odczuwa je natomiast każdy podatnik, który te koszty płaci.

Za chorobę perjodyczną życia gospodarczego Polski, należałoby uważać „dziką spekulację“ artykułami sezonowymi w okresie ich wyczerpywania się (a więc np. na wiosnę w zakresie ziemniaków, w końcu lata w zakresie ryb etc.). „Dzikość“ ta jednak znacznie maleje, gdy uwzględnimy okoliczność, iż wahania sezonowe muszą mieć u nas z natury rzeczy przebieg ostrzejszy, niż gdzieindziej, wskutek braku urządzeń technicznych do przechowywania całego szeregu artykułów, oraz wskutek wysokiego oprocentowania kapitału obrotowego.

Dzięki tym kilku szablonowym określeniom warun-

ków, w jakich pracuje nasz handel, wytworzyło się szeroko rozpowszechnione przekonanie, iż jest specjalnie wdzięczne pole do działania organizacyjnego polityki gospodarczej. Mniemanie to jest po większej części błędne. Ma tu miejsce często obserwowane zjawisko, że objawy choroby bierze się za samą chorobę. Niedomagania naszego handlu pochodzą z ogólnych niedomagań naszego życia gospodarczego. To też nie dadzą się one usunąć przez te czy inne zarządzenia administracyjne, a jedynie przez systematyczną kurację całego organizmu gospodarczego.

W chwili obecnej zaś niewątpliwie najlepszym sposobem uniknięcia „dzikich“ objawów w handlu jest zaprzestanie dążeń do wprowadzenia w życie „swojskich“ pomysłów, idących w kierunku uregulowania go.

beeru.

W SPRAWIE MEMORJAŁU KUPIECTWA.

Niedawno organizacje kupiecka przedłożyły M. P. i H. memorjał, w którym między innymi występują przeciw monopolom, spółdzielczości, sklepom inwalidzkim i t. p. W sprawie tego memorjału kupiectwa nasuwają mi się następujące uwagi:

- 1) Monopolizacja handlu i pewnych gałęzi wytwórczości w ręku państwa jest dyktowana nieraz warunkami obiektywnymi, panującymi w tych gałęziach wytwórczości lub handlu. Zarówno monopol spirytusowy, jak i tytoniowy miał na celu uporządkowanie stosunków produkcji i handlu, także zapewnienie Skarbowi wpływów pewniejszych niż to można powiedzieć o wielu podatkach.
- 2) Wyczerpywanie się rynków konsumcyjnych związane jest między innymi ze skurczeniem inwestycji przemysłowych, które pośrednio zawsze zasilają w środki nabywcze rynek konsumcyjny. To wyczerpanie rynków konsumcyjnych z kolei wywołuje konieczność redukcji cen, a ta redukcja idąca różnymi drogami musi się odbywać często kosztem pośrednika, t. j. kupca. Stąd popieranie spółdzielczości, handel podejmowany przez kartele przemysłowe i t. p.
- 3) Tak zachwalana wolna konkurencja i wolny handel faktycznie przestały istnieć, gdyż podstawą „swobodnej“ kalkulacji cen stały się porozumienia zarówno przemysłowców jak kupców i widzieliśmy u nas takie fakty, jak ustalenie cen przez różne związki handlujących. Takie „regulowanie“ cen w górę odbywało się zarówno do artykułów pierwszej potrzeby, jak mąka, mięso, jak i w odniesieniu do specyfików lekarskich lub nawet usług fryzjerskich. Było to oczywiście wywołane niepewnością rynku zbytu, ale z kolei musiało wywołać reakcję.

Z połączenia tendencji, zaznaczonych pod 2 i 3 wynika konieczność wkraczania państwa w dziedzinę regulacji cen, a stąd już niedaleko do tworzenia dla tego celu takich lub innych organizacyj państwowych lub półpaństwowych, jak P. Z. P. Z.

Do tych wszystkich czynników raczej „wewnętrznej natury“ przybył od niedawna potężny czynnik międzynarodowy:

- 4) Coraz większe trudności wymiany międzynarodowej wysunęły na czoło hasło kompensacji. Ale skuteczna kompensacja w wymianie towarów

wymaga centralizacji zakupu i zbytu, dlatego np. Szwajcaria, która jako niewielkie państwo może łatwiej przystosować swoje zarządzenia do istniejących warunków, wkroczyła zdecydowanie na drogę tworzenia centrali zakupów różnych artykułów nawet pierwszej potrzeby rozdziału i różnicowania rynków i t. p.

U nas konieczność przystosowania handlu do warunków panujących na obcych rynkach powołała do życia związki i syndykaty, które są organami pomocniczymi dla rządu, a nadrzędnymi w stosunku do poszczególnych kupców. Organizacje te regulują podaż na obce rynki, czuwają nad wykonaniem przepisów standaryzacyjnych, opinują w sprawach rozdziału premii i t. p.

Wszystkie powyższe okoliczności wskazują na to, że życie gospodarcze stwarza fakty i wysuwa problemy, które muszą być nieraz rozwiązywane niezależnie od życzeń tej czy innej grupy zainteresowanych, bo często rozwiązania tkwią w samej naturze faktów i problemów.

Rozwiązania te idą też często ponad głowami zainteresowanych, bo nie się nie poradzi na to, że dziś np. kupiec indywidualny z jego hasłem wolnej konkurencji często nie może sprostać sytuacji, która wymaga zrzeszenia i zespolenia interesów. Dlatego organizacyjna część haseł „programowych“, wysuniętych w memorjale kupiectwa, brzmi miejscami jak anachronizm. Anachronizmem też staje się rozwiązywanie problemów gospodarczych w myśl jednostronnych życzeń tej lub innej grupy społecznej.

z. l.

NA MARGINESIE.

Główny Urząd Statystyczny publikuje co miesiąc zestawienia handlu zagranicznego. Z zestawień tych wynika, że saldo dodatnie naszych obrotów zaczyna się w szybkim tempie kurczyć, a mianowicie:

Miesiąc	Wywóz (w tysiącach złotych)	Przywóz	Nadwyżka
Styczeń	93.316	80.462	12.854
Luty	97.649	63.858	33.791
Marzec	96.331	65.605	30.726
Kwiecień	96.211	78.896	17.315
Maj	78.062	73.227	4.835
	461.569	362.048	99.521

Dla pełności obrazu należy jednak wziąć pod uwagę również cyfry, znajdujące się „pod kreską“. Znajduje się tam rubryka bodaj czy nie bardziej interesująca od tych, które przytoczyliśmy wyżej. Chodzi tutaj, mianowicie, o pozycję: „złoto i srebro nicobrobione oraz monety złote i srebrne“. Jakiej ewolucji podlegała ona w r. b., wyjaśniają następujące dane:

Miesiąc	Wywóz (w tysiącach złotych)	Przywóz	Nadwyżka
Styczeń	41	3.332	—3.291
Luty	8	12.344	—12.356
Marzec	38.320	13.715	+24.605
Kwiecień	102	13.082	—12.980
Maj	43.522	23.661	+19.861
Razem	81.993	66.134	+15.759

Jeżeli sumę wywiezionego kruszcu i monet porównamy z aktywami instytucji emisyjnej, to okaże się, iż z wymienionych 81.993 tys. zł. na zmniejszenie się złota w skarbcu Banku Polskiego przypada 77.725

tys. zł. W pozostałości, liczącej zgórą 4 milj. zł., pewną część stanowi eksport srebra nieobrobionego, które idzie zagranicę celem uszlachetnienia na monety srebrne ¹⁾. Innemi słowy, aktywność bilansu handlowego „na marginesie” zawdzięczamy jedynie i wyłącznie tranzakcjom instytucji emisyjnej, która sprzedając kruszcu uzupełnia swe zasoby walut i dewiz, zaliczonych do pokrycia. Nawiasem tylko wyrazimy, zapewne naiwne, zdziwienie, dlaczego Bank Polski sprzedaje zagranicę złoto, a obywatele polscy złoto z zagranicy sprowadzają? Czy nie prostszym i tańszym byłoby te transakcje dokonywać — na miejscu?...

Najbardziej interesujące w tem wszystkim jest jednak kształtowanie się liczb przywozu kruszcowego.

¹⁾ Od stycznia do kwietnia b. r. władnie wywieźliśmy srebra nieobrobionego za 102.000 zł., sprowadziliśmy zato monet srebrnych za zł. 281.000.

Tempo wzrostu tego importu jest naprawdę bardzo silne, a zrozumiałe, gdyż zamiłowana do tezauryzacji ludność Rzeczypospolitej wymienia dolary na monety złote z energją, godną lepszej sprawy. Nie ulega zaś najmniejszej wątpliwości, że dotychczasowi „dolarowicze” pociągnęli za sobą nielicznych zresztą „złotówkowiczów”; ci ostatni za ostatni grosz kupują dolary i dolarami płacą za krążki złote z podobizną Mikołaja II ²⁾. Że to nie żarty, świadczy zestawienie G. U. S. za okres pierwszych 4 miesięcy b. r., kiedy import monet złotych wyniósł 40.543 tys. zł., czyli 95,4% ogólnego importu kruszcowo - monetarnego.

Pozycje „na marginesie” stają się niebezpieczne: są dowodem psychozy.

z. i.

²⁾ O tym swoistym typie monarchizmu pisał pan b. l. w Nr. 10 „Gospodarki Narodowej” („Ruble i talary”).

„DZIEŃ POLSKI”

PISMO CODZIENNE, POLITYCZNE, GOSPODARCZE I LITERACKIE
ROZPOWSZECHNIONE WE WSZYSTKICH DZIELNICACH PAŃSTWA

ORGAN POLITYCZNY SFER
ROLNICZYCH, PRZEMYSŁO-
W Y C H I H A N D L O W Y C H

Ogłoszenia w „DNIU POLSKIM” dają doskonałe rezultaty

Prenumerata miesięczna **Zł. 5** — Egzemplarze

okazowe wysyłamy na żądanie

Warszawa ul. Szpitalna Nr. 1

Redakcja tel. 277-88, 630-54

Administracja tel. 649-04, 279-00

KONTO CZEKOWE W P. K. O NR. 8.575

Redaktor odpowiedzialny **KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI**

Sekretarz Redakcji: **ZOFJA CIEGHOMSKA**

RĘKOPISÓW NADEŚLANYCH REDAKCJA NIE ZWRACA.

REDAKTOR PRZYJMUJE WE WTORKI I PIĄTKI OD 17 DO 18.

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: CHMIELNA 23 M. 6 TEL. 727-99. KONTO CZEKOWE P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. GENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE

Drukarnia „Nowogrodzka”, Warszawa, Tarczyńska 4.

